

GRAŻYNA BAKIEWICZ

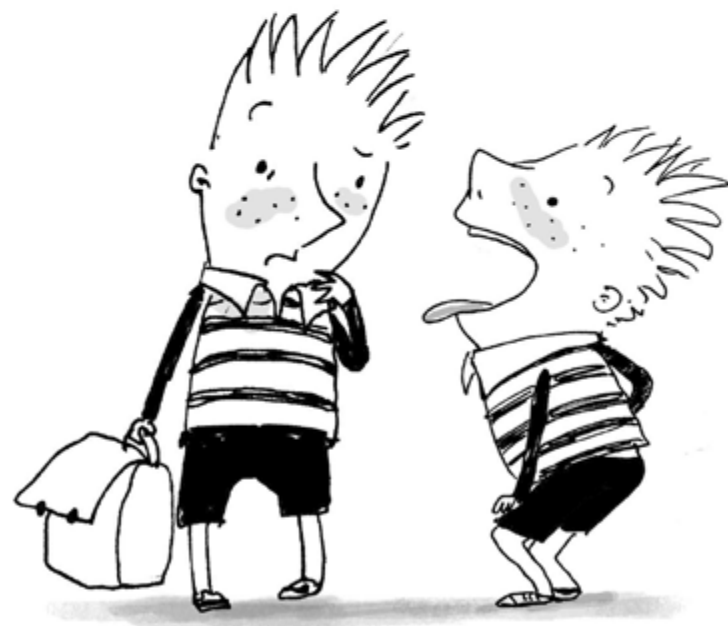
1:0 DLA  
KORNISZONKA



GRAŻYNA BĄKIEWICZ

# 1:0 DLA KORNISZONKA

ilustracje Katarzyna Kótodziej



Grażyna Bąkiewicz  
**1:0 dla Korniszonka**

© by Grażyna Bąkiewicz  
© by Wydawnictwo Literatura

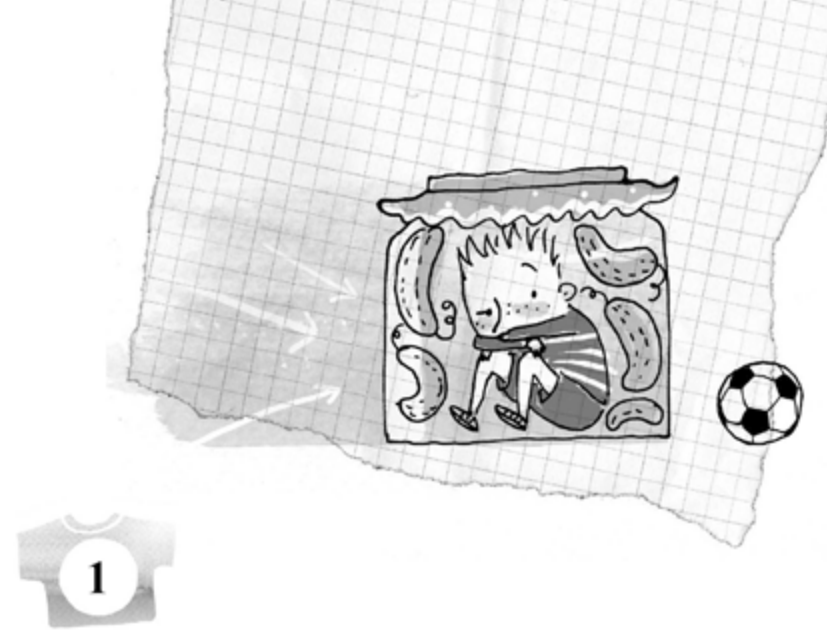
Okładka i ilustracje:  
Katarzyna Kołodziej

Korekta i skład:  
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

**Wydanie I**

**ISBN 978-83-7672-235-1**

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2013  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wyd-literatura.com.pl  
tel. (42) 630 23 81  
faks (42) 632 30 24  
www.wyd-literatura.com.pl



Nazywam się Ogórski, Jacek Ogórski, i dlatego chłopaki mówią na mnie Korniszonek. Wołali: „Ogórek, ogórek, kiełbasa i sznurek!” i nie wyobrażacie sobie, ile walk musiałem stoczyć, by wybić im to z głowy. Tata przekonywał, że przydomek to nic takiego, bo w szkole każdy jakiś ma. Zgoda, ale dlaczego „ogórek”?

– Ogórek, chodź pograć w piłkę! – darli się, idąc na boisko.

Bardzo lubię grać w piłkę, ale honor nie pozwalał mi wyjść. Obraziłem się i ukryłem pod biurkiem. Pewnie siedziałbym tam do dziś, gdyby sprawy nie załatwił mój starszy brat Wojtek. Wyjrzał przez okno i powiedział chłopakom, że tu nie ma żadnego ogórka.

– Ale pod biurkiem siedzi mały, kwaśny ogóreczek, czyli korniszonek.

Korniszonek? No, no. Niby też ogórek, a brzmi o wiele piękniej. Spodobało mi się. Chłopakom też.

– Korniszonek, chodź pograć w piłkę! – zawołali i od razu pobiegłem.

Teraz siedzę przy oknie i czekam na tych chłopaków. To moi przyjaciele. Życ beze mnie nie mogą. Ledwo zrzucą plecaki i zjedzą obiad, a już pędzą na boisko i nigdy o mnie nie zapominają. Gdy przebiegają koło mojego domu, wrzeszczą z całych sił:

– Korniszonek, Korniszonek, weź piłkę i chodź!

Wolałbym, żeby wołali nieco ciszej, bo jak mama ich słyszy, zaraz zaczyna zadawać kłopotliwe pytania: „A co zadane?”, „A czy odrobiłeś lekcje?” i takie tam. Dzisiaj na wszelki wypadek wyciągnąłem z tornistra zeszyt, by sprawdzić, jak bardzo czarna jest kropka, którą dostałem z dodawania i odejmowania. Niestety, była bardzo czarna.

– Mamo, pójde pokopać piłę z chłopakami – szepnąłem cichuteńko, żeby wypróbować słuch mamy.

Kopanie piłki to jest to, co lubię najbardziej. Mógłbym ją kopać przez całe dni, aż do ostatniej kropli potu, do takiego zmęczenia, że jedyne czego się pragnie, to położyć się na trawie i patrzeć, jak obłoki płyną po niebie. I niepotrzebna mi do szczęścia żadna szkoła. Osobiście uważam się za człowieka wykształconego. Znam literki i potrafię przesylabizować podpisy pod obrazkami, więc co mi jeszcze zostało do nauczenia? Chyba niewiele. Czekam już tylko odkrywanie rzeczy nowych. Co prawda mama, tata i pani upierają się przy dodawaniu i odejmowaniu, ale wątpię, by taki sta-

roć do czegoś się przydał. Jeśli jeszcze chodzę do szkoły, to tylko dlatego, że jest tam moja pani. To najładniejsza pani na świecie. Ma fiołkowe oczy i ciągle się uśmiecha, nawet wtedy, gdy stawia mi czarne kropki. Powiem wam w sekrecie, że chodzę do szkoły tylko dla niej.

– Korniszonek! Korniszonek! Weź piłkę i chodź na boisko. Kto przyjdzie ostatni, ten jest zgniłym jajem! – rozległ się wrzask.



– A lekcje odrobiłeś? – usłyszałem pytanie, którego się spodziewałem.

W odpowiedzi mruknąłem coś nieokreślonego, co mogło oznaczać zarówno „tak”, jak i „nie”, ale mama nie dała się zbyć. Pojawiła się w drzwiach i zażądała stanowczo:

– Pokaż!

Wiedziałem, że nie ustąpi, póki na własne oczy nie zobaczy rozwiązanych zadań, więc posłusznie wyciągnąłem schowany za kaloryferem zeszyt. Wetknąłem go tam na wszelki wypadek, żeby nie zginął, gdy mnie nie będzie. Z zeszytami nigdy nic nie wiadomo. Mama tylko westchnęła na widok czarnej kropki. Potem cierpliwie przerzucała kartki, ale chociaż dotarła do końca, nie znalazła tego, czego szukała. Towarzyszyłem jej w tych poszukiwaniach i ze zgrozą odkryłem, że w miejscu, gdzie powinny być odrobione lekcje, nie było nic. Oniemiały, gapiłem się na puste kratki. No coś takiego!

– Tylko nie mów, że lekcje zrobią się same, gdy się wystarczająco długo poczeka – powiedziała.

Właśnie coś takiego miałem na końcu języka, ale skoro mama rozwiała nadzieje, poprzestałem na jęku:

– Oj, mam, tam chłopaki czekają. Przez ciebie będę zgniłym jajem.

– Trudno, ale ktoś przecież musi odrobić twoje lekcje.

– Może Wojtek? – podpowiedziałem pełen nadziei, że zrozumie moją sytuację i zleci rozwiązanie zadań swojemu starszemu i mądrzejszemu synowi. Wojtek chodzi do poważniejszej szkoły, więc odrabianie takich lekcji to dla niego pestka.

– Szczerze mówiąc, miałam na myśli zupełnie kogoś innego – zawahała się.

– Babcia nie wchodzi w rachubę! – zastrzegłem. – Liczby w jej czasach były pewnie inne, bardziej przestarzałe.

– Jasne, że nie babcia. Anulka też odpada, bo jest za mała.

Co do Anulki, mama była w błędzie. Moja młodsza siostrzyczka ma co prawda tylko pięć lat, ale liczyć umie doskonale i już nieraz odrabiała moje lekcje. Teraz też dawała znaki, że chętnie to zrobi, tyle że ona każe sobie słono płacić. Już prawie wszystkie moje zabawki zmieniły właściciela i do najbliższych świąt byłem niewypłacalny.

– Widzę w tym pokoju tylko jedną osobę, która może sobie z tym poradzić – podpowiedziała mama.

– Ty, mam? – spytałem z nadzieją.

Pokręciła głową, że jednak nie. Rozejrzałem się uważnie. Po ścianie łaziła mucha. Trudno uznać ją za osobę, ale przyjrzałem się jej jeszcze raz. Mama śledziła mój wzrok, ale nawet jed-



nym mrugnięciem nie dała znać, czy dobrze kombinuję. Miałem nadzieję, że dobrze, bo prócz nas i muchy nikogo innego tu nie było. Ale mucha bzyknęła i odleciała do przedpokoju. Zostaliśmy sami. Spojrzałem na mamę, całkiem zbity z tropu. Bo skoro nie mucha, to kto?

– Ja???

– Brawo.

– No, ale chłopaki czekają.

– To może przyjdą ci pomóc?

Oni? No nie! Przecież Zbynio siedzi drugi rok w pierwszej klasie i z nudów śpi na lekcjach, a Olo na myśl o książkach dostaje wysypki.

– Wątpię, by zechcieli – zaśmiałem się z naiwności mamy.

– Skoro są już na boisku, żadna siła ich stamtąd nie ruszy.

– Jeśli tak, to sam musisz sobie poradzić.

– Ale to może potrwać do końca świata! – jęknąłem.

– Trudno. Lekcje mają być odrobione i nie ma o czym gadać. Koniec, kropka.

No i takie mam właśnie życie ze swoją mamą-tyranem.



Nie powiem, nachodzi mnie czasami leciutka ochota, żeby się czegoś nauczyć, ale wtedy czekam, aż mi przejdzie. Szkoła to przecież zawracanie głowy. Istnieje z milion ludzi, którzy myślą tak samo jak ja. Znam przynajmniej

kilku takich: Zbynio, Olo i... No, Zbynio i Olo! To mało? Z nimi mógłbym spędzić ten czas o wiele przyjemniej.

Postanowiłem posiedzieć chwilkę, póki mama nie zajmie się czymś ciekawszym. Wtedy wymknę się po cichutku. Zeszyty nie będą za mną płakały. Kto by zliczył, ile razy leciałem na boisko, podczas gdy one leżały sobie puściutki, czyściutki, bez błędów, kleksów i pozawijanych rogów. Myślę, że beze mnie jest im lepiej.

– Pójdzie ci o wiele szybciej, jak przestaniesz gapić się w sufit – poradziła mama, a potem pokiwała nade mną głową i poszła. Po chwili usłyszałem, jak mówi do babci: – Co za leń z tego Korniszonka.

Babcia ujęła się za mną:

– To dobre dziecko, tyle że nie przykłada się do nauki, nie dba o swoje rzeczy, wszystko gubi i każdemu działa na nerwy. Ale pominąwszy te drobnostki, jest chłopcem na medal.

No, proszę. Czyli nie ma tragedii.

By nie tracić czasu, zrobiłem listę tych, na których pomoc mogłem jeszcze liczyć. Na pierwszym miejscu umieściłem tatę, Wojtkę i panią. Tata był w pracy, wobec tego skierowałem swoje kroki do pokoju brata. Gdy zastanę go przy komputerze, to sprawa będzie wygrana. Wojtek odpowiada wtedy na każde pytanie, byle się mnie szybko pozbyć. Py-



tam: „Pięć dodać cztery?”, a on podaje wynik i każe spadać. Niestety, Wojtek gadał z kimś przez telefon i ledwo mnie zobaczył, wrzasnął:

– Ewakuuj się z mojej przestrzeni życiowej, ale już!

Pozostała tylko moja ukochana pani z fiołkowymi oczkami. Wydarłem kartkę z zeszytu i napisałem do niej list: „Jest mi niezwykle przykro, ale mój synek, Korniszonek, nie mógł odrobić lekcji, bo uderzył się w palec i go boli. Z poważaniem, moja mama”. To powinno ją wzruszyć na tyle, by jutro nie sprawdzała mi lekcji.

Anulka z zainteresowaniem przyglądała się moim zabiegom. Czekala, aż ją zatrudnię, ale został mi tylko stary miś i piłka. Misia nie chciała, a piłki nie dam, bo bez niej przestałbym być sobą.

– Są jeszcze czarodzieje – podpowiedziała. – Może znajdziesz jakiegoś głupiego, który robi to za darmo.

Pomysły Anulki zawsze mnie zaskakują. Dziwne, że sam na to nie wpadłem.

– Mieteeeeeeek! – zawołałem cichutko, gdy Anulka już sobie poszła.

– Lecę! – usłyszałem i pół sekundy później na suficie pojawił się cień.

No nie. Tak szybko? Wcześniej wołałem go tysiące razy i ani razu nie przyszedł. A teraz tak nagle? Przecież się nie pali.



Z plamy na suficie wyłoniły się ręce, nogi, szyja, głowa i cała reszta.

– Co to jest? – zdziwiłem się, chociaż doskonale wiedziałem co.

– Nie wygłupiaj się, to przecież ja. Sprawdź, czy nikt nie patrzy – usłyszałem nerwowy szept.

Przymknąłem drzwi, żeby nikt nie podglądał, i z ciekawością obserwowałem proces składania się Mietka w całość. To zawsze niespodzianka, co można ułożyć z jednej głowy, dwóch rąk, dwóch nóg i tułowia. Kilka pierwszych zestawów było nie do przyjęcia. Chwilę trwało, nim wszystkie elementy trafiły tam, gdzie powinny i pojawił się Mietek. To mój przyjaciel czarodziej. Nie wiedziałem, czy się cieszyć, czy uciec z wraskiem, bo obecność kogoś takiego obraca świat do góry nogami. Po namyśle uznałem jednak, że nie ma co panikować. W końcu jestem już dużym chłopcem i muszę sam sobie radzić z życiowymi komplikacjami.

– Uważaj! – wrzasnąłem, widząc, że ląduje na mojej piłce.

W ostatniej chwili odsunąłem fotel. Mietek wykopyrtnął się na podłogę i rozsypał w drobny mak. Głowa poturlała się pod biurko, gubiąc po drodze zęby i oczy. Kto inny by się przestraszył, ale nie ja. Ja jestem na takie rzeczy uodporniony.

– Zgubiłeś głowę – powiedziałem tylko i ruszyłem mu na pomoc, bo zbieranie rozsypanych zębów, gdy oczy trzyma się w ręku, jest trochę trudne.

– Zapomniałem, jak to się robi – wyjaśnił ze skruchą, gdy już złożyliśmy mniej więcej wszystkie części. Nie znalazła się tylko górna jedyńka i wyglądał bez niej trochę nie za bardzo, ale wcale się tym nie przejął.

– Co tak patrzysz? – spytał. – Coś mi się przykleiło do zębów, czy co?

Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że go jeszcze zobaczę. Jakiś czas temu porzucił czarodziejski fach i zatrudnił się jako dozorca u czarodzieja trzeciej kategorii. Uznał, że sprzątanie to pasjonujące zajęcie, któremu poświęci resztę życia. Niezbyt się tym zmartwiłem. Miałem kolegów z większymi ambicjami. Taki na przykład Zbynio gra świetnie w piłkę i Olo nie-





źle gra w piłkę, a Jurek patrzy, jak gramy w piłkę. A taki Mietek to co niby umie? Prać czarodziejskie majty? Może i tego nie potrafi, bo stał teraz przede mną rozczochrany i brudny, międląc w rękach czapkę z różowym pomponem. To moja własna czapka, w której chodziłem do przedszkola. Nosilem ją, dokąd nie zorientowałem się, że różowy pompon i żółta kacuszka to obciach dla chłopaka. Wtedy wcisnąłem ją za kaloryfer, a Mietek ją znalazł, przymierzył i stwierdził, że wygląda dostojnie, jak prawdziwy czarodziej. Pompon i kacuszka, śmiechu warte! Nic dziwnego, że nie wie mu się zbyt dobrze.

– Po co przylazłeś? – spytałem niezbyt uprzejmie.

– Przecież mnie wołałeś.

– Wcale nie – skłamałem.

– Właśnie że wołałeś! Słyszałem!

– A wcale nie! – zaparłem się i byliśmy na najlepszej drodze, żeby się pokłócić, ale na szczęście przypomniałem sobie to, co pani nam ciągle powtarza. Że mądrzejszy ustępuje głępszemu. Więc ustąpiłem i powiedziałem: – No dobra, niech ci będzie, wołałem. Ale po cichu i tylko po to, by sprawdzić, czy usłyszysz.

– No więc usłyszałem i jestem.

Wątpiłem, by odwiedził mnie tylko dlatego, że go zawołałem, i w dodatku cicho.



Rozsiadł się w fotelu obok mojej piłki. Zerkalem co chwila, czy aby nie przyjdzie mu do głowy zniknąć razem z nią. Kiedyś zabrał moje komiksy o Supermanie i dotąd ich nie oddał. Piłki byłoby mi bardziej żal, więc miałem go na oku.

– Wezmę ją – nie wytrzymałem napięcia.

– Dziękuję, teraz mi zdecydowanie wygodniej.

Nie o jego wygodę się martwiłem, tylko o swoją piłkę. Schowałem ją pod biurkiem i wróciłem do lekcji.

– Co robisz? – zainteresował się.

– Jestem bardzo, ale to bardzo zajęty – powiedziałem jak ktoś, kto nie życzy sobie, żeby mu przerywano. – Odrabiam pracę domową.

Wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że to zawracanie głowy. Gotów byłem uściskać go jak brata, ale jednocześnie chciałem pokazać, jak bardzo zmadrzałem, gdy go nie było. Zmarszczyłem brwi i dodałem jedenaście do siedmiu. Wyszło mi sto siedemnaście.

– Liczyć to ty ciągle nie umiesz – mruknął lekceważąco. Czyli źle dodałem.

– Bo jak na mnie patrzysz, robi mi się blokada. Nie patrz, to pójdzie mi lepiej.

– Mogę poczekać na podwórku.

– Nie! – krzyknąłem.

Jeszcze tego brakowało, żeby ktoś go zobaczył. Jestem chyba jedynym chłopakiem na świecie, który kumpluje się

z czarodziejem i trochę mnie to krępuje. Bo to zupełnie tak, jakbym pił mleko z butelki ze smoczką albo nosił pampersa. Po prostu wstyd! Jeśli godziłem się na utrzymywanie tej znajomości, to tylko dlatego, że ciekawiło mnie kilka rzeczy.

– Jak się tu dostałeś? – To była jedna z tych rzeczy.

– Zwyczajnie. Podprzestrzeń.

Takie słowa jak „podprzestrzeń” budzą we mnie całe pokłady ciekawości.

– Podprzestrzeń? – Powoli i z upodobaniem wypowiedziałem skomplikowane słowo. – A jak się to robi?

Mietek wzruszył ramionami.

– Zwyczajnie. Wystarczy zagarnąć przestrzeń pod siebie i odbić się mocno. Proste. Każdy głupi to potrafi. – Wzruszył lekceważąco ramionami.

– Ja nie potrafię. Naucz mnie.

Miałem szansę stać się jedynym człowiekiem na świecie, który umie z przestrzeni wnikać w podprzestrzeń i wychodzić na wierzch w jakim chce miejscu. Szuuu! i już będę na boisku, a mama nie zauważy nawet, że się wymknąłem.



– Nie umiesz liczyć, więc nie dasz rady – prychnął.

– Ja nie umiem liczyć? Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, siedem, osiemnaście...